

WAWERLEJ

opowiadanie historyczne

WEDŁUG

WALTER-SKOTTA.

Ciąg dalszy.

Tymczasem słońce nachyliło się ku samemu zachodowi. Gilifillan ciągle opowiadał powstając na bezbożność i odczepieństwo, a oddział zaczął się wspinać spadzistą drogą na szczyt góry, który gdy przebyli przodem postępujący mała liczba wraz z Wawerlejem pozostała na drugiej stronie góry. W tem kramarczyk obejrzał się bacznie, rzucił spojrzenie w oboczne krzaki i jakby psa poszukiwał zaczął gwizdać bardzo głośno.

— Przyjacielu! odezwał się cierpko Gilifillan, nie lubię tego szatańskiego głosu, zwłaszcza, gdy myśl moja zbawieniem dusz ludzkich zajęta. Przestań!

— Przebaczenie, odparł kramarz, ale mój pies wart opieki, nie opuszczę go.

I znowu gwizdnął.

— Jeszcze raz zrób coś podobnego, zawołał Gilifillan wyjmując pistolet z olstry, a strzelę do ciebie, bo to może być znak którym wabisz łotrów podobnych sobie.

— Panie! czyż mógłbyś dopuścić się morderstwa?—zapytał kramarz i przesunął się na tył konia dowodzący oddziału gwizdząc po raz trzeci z największą mocą. Gilifillan zwrócił się ku niemu, ale jednocześnie z krzaków wyskoczyło ośmiu silnych i zbrojnych górali, rzucili się na żołnierzy, kramarz podjętym z ziemi karabinem uderzył w głowę Gilifillana waląc go na ziemię, a ten bezwiednie wstrzeliwszy z pistoletu, kulą trafił w konia Wawerleja. W zgiełku i zamieszaniu jakie ztąd powstały, Wawerlej przygnieciony przez padającego swego wierzchowca, silnie pognieciony został, ale zanim oprzytomniał, uczuł że go dwóch górali podniosło z ziemi i zaczęli z nim spieszenie uchronić przez krzaki i zarosła. Od drogi dochodziły strzały i odgłosy walczących czas jakiś jeszcze ale wkrótce ucichły zupełnie, i kiedy Wawerlej odurzony tem wszystkim wrócił wreszcie do zupełnej przytomności, zobaczył się leżącym na obszernym pledle niesionym przez czterech górali z wielkim pośpiechem jakby się lekali pogoni. Między sobą mówili mało i zawsze po gaelicku, na robione sobie zapytania nie nie odpowiadali jakby uszów nie mieli, a gdy się jedni dźwiganem znużyli, zaraz zastępowali ich drudzy i z równą szybkością spieszyli dalej. Wawerlej pragnąc ich ośmielić, wymienił nazwisko Wich-Jan-Wohra, sądząc że tem przynajmniej zwróci ich uwagę na siebie:—lecz górale nawet nie spojrzeli na Wawerleja i pędzili dalej przez wzgórza i lasy.

— Któż mnie więc ze szponów Gilifillana uwolnił?—zapytał sam siebie Wawerlej. Czyżby to była nowa niewola? Bądź co bądź, zawsze tam koniec był bardzo wątpliwy, tu przynajmniej mam nadzieję ocalenia.

Pragnąc więc przekonać się o ile jest strzeżony,

pomimo osłabienia starał się dźwignąć z pledu i wyskoczyć, ale wtedy górale dawali mu groźne znaki uspokojenia się.

Już pomroka ustąpiła przed światłem księżyca, kiedy oddział niosący Wawerleja zatrzymał się nad brzegiem spadzistej doliny mnóstwem drzew i gęstmi zarosłej krzakami. Dwaj górale zeszli wąską ścieżką zapewne na zwiady, a gdy jeden z nich za chwilę powrócił, wyrzekł parę słów do towarzyszków, którzy natychmiast ciężar swój wzięwszy na barki, takowy z wielką ostrożnością nieśli drożyną wąską i pochyłą. Na dole i jak się zdawało po szumie wody, nad brzegiem strumienia, oddział zatrzymał się przed małą i ubogą chatą. Drzwi w niej były otwarte, podłogi ani śladu, ściany z kamieni przekładane darnią, dach podziurawiony nie był nakryty słomą tylko gałęziami. W środku izby rozłożone ognisko dymem napełniało całą lepiankę, a stara góralka zajęta była gotowaniem wieczerzy. Teraz dopiero przekonał się Wawerlej że górale pod których zostawał strażą, nie byli z klanu Fergusa, który starannie pilnował aby podwładni jego nosili tartany w paski według odwiecznie przyjętego zwyczaju. Ci zaś zupełnie mieli inne, do Fergusa zatem klanu nie należąc, nie z jego rozkazu uwolnienia dokonali, co jeszcze bardziej zagadkowe położenie Wawerleja zaciemniło.

Prócz balji do prania i kilku gratów zniszczonych, jedynym sprzętem w tej lepiance było obszerne łóżko drewniane, deskami w koło obite jak wielka klatka, do której wchodziło się drzwiczkami do zasuwania zaopatrzonemi. Jak tylko Wawerlej dał poznać, że nie chce żadnego posiłku, włożono go do owej klatki i zamknięto. Sen jego był niespokojny i przerywany, dziwaczne jakieś kształty snuły się mu przed oczami, potem nastąpił dreszcz febrowy, mocny ból głowy i nieznośne cierpienie w udach. Nazajutrz sami dozorczy jego przekonali się, iż dalszej podróży nie był w stanie odbywać, po długiej przeto naradzie sześciu z nich opuściło chatę, zostawiając jednego starego, drugiego młodego górala. Starszy zbliżył się do Wawerleja, zaczął ciepłemi kataplazmami okładać bolejące części które przez noc napuchły i zasiniały, a potem zamknął drzwi klatki namawiając Wawerleja do spoczynku. Febra dopiero trzeciego dnia ustąpiła, mógł więc podnieść się lubo z wielkiem wysileniem, i zaraz zdziwił się, że tak góralka jak i góral pilnie starali się, aby przez drzwiczki odemknięte nie mógł widzieć co się wewnątrz izby działo. Gdy bowiem Wawerlej zaporę usunął, oni natychmiast ją zasuwali, a ów starszy góral pragnąc temu koniec położyć, zabił z wierzchu gwóźdź tak mocno, że nieprędzej można było drzwi odsunąć, aż po odjęciu tej przeszkody.

Kiedy Wawerlej zastanawia się nad przyczyną tak dziwnego postępowania, sprzecznego z troskliwością jaką go darzono otaczając wszelką wygodą, przypomniał sobie, że w przystępie najsilniejszego cierpienia i gorączki, widział postać młodej kobiety bardzo nim zajmującej się. Przypomnienie to nabrało tym większej rzeczywistości, gdy pilnie przysłuchując się rozpoznał głos drugiej kobiety która z góralką po cichu rozmawiała. Zaczął więc majstrować nad wydobyciem gwóźdźka, a gdy mu się to udało, przez

małą szparę zobaczył rzeczywiście w izbie postać kobiety okrytej płaszczem góralskim i rozmawiającą ze starą góralką. Twarzy jednak jej nie mógł zobaczyć, gdyż obrócona była do niego plecami, a gdy Wawerlej pragnąc lepiej się przypatrzeć, drzwiczki posunął i te szelest skrzypiący wydały, kobieta owa młoda spiesźnie wybiegła z izby.

Od tego czasu ustała zupełnie blokada klatki Wawerleja, i nie tylko pozwolono mu ale nawet pomagano wstawać z łóżka które dotąd więzieniem było dla niego. Nie mógł jednak z chaty wychodzić, i ile razy Wawerlej do drzwi się zbliżał, tyle razy młody góral na warcie stojący, grzecznie zachodził mu drogę i znakami wskazywał, że mu grozi wielkie niebezpieczeństwo i że nieprzyjaciel blisko się znajduje. Stara góralka zdawała się być zatrwożoną, a Wawerlej skutkiem jeszcze wielkiego osłabienia, nie mogąc gwałtem dokonać wycieczki, przymuszony został czekać cierpliwie sposobniejszej do tego pory. Stół jego pod każdym względem był lepszy, aniżeli mógł się spodziewać; dawano mu drób, nawet wino, Górale nie śmieli nigdy razem z nim siadać, okazywali wszelkie uszanowanie, wyjąwszy tylko tę okoliczność że go pilnie strzegli jakby więźnia. Jedyną jego zabawą było patrzeć przez otwór miejsce okna zastępujący, z którego widok wychodził na szeroki i spadzisty strumień gęstymi krzakami obsadzony, spadający z góry i pieniający się z łoskotem w kamiennem łożysku.

Szóstego dnia po wyjściu z klatki, Wawerlej tak dobrze się uczuł, że zaczął na prawdę przemyślać, jakby wymknąć się z tej nudnej chałupiny; szło tylko teraz o to, w którąby się udać stronę po odzyskaniu wolności:—czy do Fergususa, czy do jakiego portu w Szkocji aby popłynąć do Anglii.

Kiedy zastanawia się nad tak ważnem zadaniem, siódmego dnia wieczorem otwarły się nagle drzwi chaty i weszli dwaj górale pierwsi jego towarzysze. Pomówiwszy krótko z dozorcami, pokazali Wawerleju na znaki, ażeby się przygotował do podróży i opuszczenia chaty. Wiadomość ta niezmiernie go rozradowała, zaraz też stara Góralka Zaneta zaczęła pakować jego tłumoczek, a gdy Wawerlej zamysłony nad nowym zwrotem swego położenia, przechadzał się po izbie gubiąc się w domysłach dalszych swoich losów, uczuł nieznaczne lekkie dotknięcie w ramię. Obejrzał się, była to Aleksya córka Donaldy, która pokazawszy mu skrycie pakiecik papierów, położyła palec na ustach, podsunęła się ku tłumoczkowi, i obwinąwszy ów pakiecik w koszulę zręcznie ją między rzeczy wsunęła.

Miałaby więc Aleksya być ową nieznaną, która go pielęgnowała w czasie choroby? Chęci zarobowania go nie widział, co stanowiło zwyczajne zajęcie Donaldy, gdyż nie tylko nie zabrano mu rzeczy, ale nadto zostawiono mu sukiewkę, którąby mogła znieść każdego złodzieja z profesyi. Może pakiet objaśni to wszystko lecz ostrożność Aleksyi widocznie okazywała, że życzyła sobie aby pakiet tajemnie był otworzony. Nadto zapewniwszy się, że Wawerlej ją rozumiał, wyszła z chaty i tylko w chwili gdy przez drzwi przechodziła, korzystając ze zmroku, pożegnała go uśmiechem i znaczącem skinięciem głowy, a potem zniknęła w ciemnej dolinie.

Młody góral wychodził po kilka razy na zwiady, i kiedy wreszcie coś piąty raz powrócił, ruszono z miejsca dawszy Wawerleju znak iżby szedł za nimi. Wawerlej uściskał rękę Zanety, która o nim

tak pieczołowicie miała staranie i wsunął w nią sztukę złota jako dowód swej wdzięczności.

— Boże błogosław ci, kapitanie Wawerleju! zawołała staruszka czystym szkockim językiem, lubo dotąd inaczej nie mówiła jak po gaelicku. Zdziwiło to niezmiernie Wawerleja, lecz pośpiech towarzyszów nie dozwolił mu bliżej rzecz całą zbadać.

Jak tylko konwój zebrał się przed chatą, przewodzca oddziału nakazał wszystkim jak największą ciszę, potem wręczył Wawerleju miecz i pistolet dając do zrozumienia, że może będą zmuszeni gwałtem sobie torować drogę. Poczem stanął na czele oddziału, który zwyczajem Indian jednym szeregiem naprzód postępował. Wawerlej zajął pierwsze zaraz po nim miejsce, oddział cały posuwał się z największą ostrożnością, a dostawczy się na wierzch ścieżki, przewodzca dał znak i wszyscy zatrzymali się jakby ich kto nagle przybił do miejsca. Po chwili w pośród najgłębszej ciszy, w niewielkiem oddaleniu, dało się słyszeć wołanie placówki angielskiej: *All's well! wszystko bezpiecznie!*

Donośny odgłos rozlegał się z wiatrem nocnym po zarosłej dolinie: po razy kilka coraz słabiej powtórzonym został, aż wreszcie zginął zamieniając się jakby w niewyraźne echo niknące w oddaleniu. Widoczną było rzeczą, że w pobliżu znajdował się oddział wojskowy mający się na baczności, której nie wiele bali się ludzie z miejscowością tak dobrze obznajmieni. Gdy wreszcie odgłosy te w cichości nocy utonęły, górale spiesźnie w dalszy puścili się pochód, zawsze jednak zachowując największe milczenie. Nagle przewodniczący zatrzymał się, i z bacznością zaczął wietrzyć jak wyżół tropiący zwierzynę, potem układł się na czworakach, obwinął w płaszcz góralski i czółgając się niby wąż przy samej ziemi, zniknął w gąszczu. Nie długo powrócił znowu, wyszeptał jakiś rozkaz i zaraz górale rozpieczęli się w różne strony a Wawerleju dał do zrozumienia aby idąc za jego przykładem, rozpoczął czółganie w celu uniknienia grożącego im niebezpieczeństwa. Nie było to ani wygodne ani przyjemne, i gdy tak przepelzali kawał drogi, Wawerlej poczuł zapach dymu, który bez wątpienia już dawniej musiał uderzyć delikatniejsze powonienie jego przewodnika. Pochodził on z niskiego wałacego się hurtu z kamieni bez żadnego spojenia postawionego. Za danym znakiem przewodnik z Wawerlejem zbliżywszy się do jego ściany, zobaczyli po za nią czterech żołnierzy leżących przy ognisku i śpiących w najlepsze oprócz szyldwacha, który przechadzając się z bronią na ramieniu, patrzył w przeciwną stronę w której księżyc chmurami zakryty, wydobywał się z ciemnej powłoki. Przewodniczący przypatrując się całej tej scenie, obejrzał się bacznie, skinął na górala przy Wawerleju znajdującego się jakby mu przypominał poprzednio wydany rozkaz, i puścił się nazad w tym samym kierunku z którego przyszli przed chwilą. W parę sekund cisza dokoła najzupełniejsza zapanowała, księżyc uwolniony z chmur zajaśniał w całym swym blasku, szyldwach zaczął się znowu przechadzać, gdy nagle z przeciwnej strony zarośli wyszedł na polankę przewodnik, zmierzył z karabina, dał ognia do żołnierza i rzucił się w gęstwinę. Szyldwach odstrzelił, straż śpiąca zerwała się na równe nogi i pospieszyła w krzaki dla zbadania napaści. Był to tylko wybieg wojenny dla wypłoszenia żołnierzy z hurtu, przez który górale przejść koniecznie mu-

sieni. Gdy się tak szczęśliwie udał, góral z Wawerlejem puścili się pospiesznie ścieżką strzeżoną przez żołnierzy i po kwadransie biegu przebyli pagórek, po za którym pewni być mogli że ich nikt nie dojrzy. Zawsze jednak w pewnym oddaleniu, słyszeli jeszcze nawoływanie żołnierzy i rozeznali daleki odgłos bębna zwołujący do broni cały oddział, który wkrótce w miarę biegu uciekających rozproszył się w powietrzu.

W pół godziny później Wawerlej z góralem, doszli do otwartej doliny, i tu pod pnem starego dębu burzą do połowy zgruchotanego znaleźli kilku Górali i trzy konie osiodłane. Za ledwie towarzysz Wawerleja opowiedział wypadek jaki ich spotkał w drodze, gdy sam przewodnik zwany przez nich Dunkanem nadbiegł bez tchu prawie i z widocznymi oznakami że tu szło o jego życie, śmiał się jednak i nadzwyczajnie cieszył z pomyślnego skutku wybiegu, którym ścigających oszukał, co nie trudno mu przyszło, skutkiem dokładnej znajomości całej okolicy.

Dunkan nacieszywszy się dosyć z towarzyszami, odebrał broń Wawerlejowi dając do zrozumienia że mu w dalszej podróży nie będzie już potrzebną i że ją odbywać będzie konno, z czego się Wawerlej jako po chorobie zbyt osłabiony doświadczonego trudem, niezmiernie ucieszył. Zaraz też dosiadł konia, tłumoczek jego włożony na drugiego i w towarzystwie Dunkana także na koniu ruszono w drogę.

Żaden już inny wypadek nie przerwał tej nocej podróży; ze świtem dostali się nad brzeg bystrego strumienia, po którego drugiej stronie wznosił się wspaniały zamek, o którego w połowie zwalone wieże odbijały się już pierwsze promienie słońca. Na jednej z większych stał szyldwach, u którego szpaka i pled z wiatrem igrający oznaczały górala: na drugiej powiewała wielka biała chorągiew świadcząc że cała załoga zamku składała się ze stronników domu Stuartów. Przebywszy szybko małą wioskę, wjechali nasi podróżni na stary most o kilku arkadach, i dostali się do drogi wysadzonej ogromnymi jaworami. Brama do zamku prowadząca z żelaznych ułożona krat, stała otwarta pozwalając wolnego na podwórze wjazdu.

Jakiś człowiek w stroju góralskim dopomógł Wawerlejowi zsiąść z konia i oświadczył mu uprzejmie, że przybycie jego nader jest pożądanem dla mieszkańców zamku. Komendant, bo tak go nazwać musimy, zaprowadził następnie Wawerleja do pokoju na wpuł zburzonego, w którym stało jednak niewielkie polowe łóżko.

— Czy nie byłibycie komendancie tak łaskawym, odezwał się Wawerlej podziękowawszy poprzednio za odebrane usługi, dając mi objaśnienie, gdzie jestem i czy mam się dalej za więźnia jeszcze uważać?

— Nie jest w mojej mocy, odrzekł komendant, na te pytania szczegółowo wam odpowiedzieć. Powiem tylko, że znajdujecie się w zamku Doune i że nie masz się zupełnie czego obawiać.

— Cóż mi jednak ręczyć może za bezpieczeństwo mojej osoby?

— Słowo Donalda Stuarta, odrzekł zapytany, komendanta załogi w służbie króla Edwarda.

To powiedziawszy spiesznie wyszedł unikając dalszych badań, a Wawerlej strudzony nocnym niewyczasem rzucił się na łóżko i zaraz usnął.

W parę godzin ocknąwszy się uczuł że mu głód dokucza: przewidując to zastał już na stole zasta-

wione obfite śniadanie, lecz komendant Stuart już nie pokazał się, a w miejsce jego przyszedł służący oświadczając, że jest przeznaczony do jego usług i do towarzyszenia w dalszą drogę, w którą dziś jeszcze wieczorem udać się będą musieli.

— I gdzież mnie na nowo popędzicie?—zapytał Wawerlej, czy tej włóczędze nie będzie już końca.

— To do mnie nie należy, odrzekł służący, mam tylko polecenie służenia ku waszej wygodzie.

Wawerlej dumając nad swoim nowym równie dziwnym położeniem, przypadkiem spojrzął na swój tłumoczek przyniesiony podczas snu do izby. Przypomniał sobie natychmiast tajemnicze zjawienie się Aleksyi w hacie na dolinie i tylko co miał wydobyc ukryty w nim pakiecik papierów, gdy służący wszedł do izby i tłumoczek wziął na plecy.

— Mój bracie, odezwał się Wawerlej, chciałbym odmienić bieliznę.

— Przyniosę jedną z koszul zamkowych, bo ten tłumoczek musi iść na furgon który w tej chwili odchodzi.

— To widzę pilno wam bardzo.

— Tak, dosyć, ale otóż i furgon zajęzda, odrzekł służący i pospiesznie wybiegł z tłumoczkiem.

Wawerlej cały zawrzał gniewem, ale cóż miał robić czując że uledez musi przemocy.

— Same zagadki i tajemnice, myślał Wawerlej przechadzając się po izbie. Nie mogę pojąć przyczytny takiego ze mną postępowania, i opieki acz dziwnej ale na chwilę mnie nie opuszczającej. Kto ją spełnia, i w jakim celu? Wprawdzie winienem jej ocalenie ze szponów Gilifillana, aleć nareszcie nie jestem ani dzieckiem ani jeńcem wojennym, aby robiono ze mną wszystko wbrew własnej mej woli.

W tem dał się słyszeć na podwórzu tentent koni i wszedł służący oświadczając, że ma już przygotowywać dla Wawerleja tłumoczek z zapasem bielizny potrzebnej na czas dłuższy, gdyż z własnymi rzeczami nie prędko się spotka, i że koń gotowy już czeka do podróży. Zeszedł zatem Wawerlej na dół i w towarzystwie dwudziestu zbrojnych ludzi wyruszył z zamku Doune. Byli to wszystko żołnierze na prędko utworzeni, w mundurach niezgrabnych, z bronią nie jednostajną, a choć końmi zręcznie kierowali, ale była to zręczność myśliwych i stajennych ale nie wywiczonych należycie kawalerzystów. Dowódzca oddziału siedział na dzielnym koniu, a chociaż był w mundurze, z tem wszystkim poznał w nim Wawerlej Falkonera owego towarzysza uczty w zamku Bradwardine, który się stał powodem tak przykrego zajścia zakończonego pojedynkiem z Baronem. Wawerlej spragniony rozmowy, zobaczywszy go, zapomniał o całym minionem nieporozumieniu, i chciał zbliżyć się do niego, ale w sercu Falkonera widać nie zatarła się pamięć bolesnej rozprawy z Baronem, gdyż udał że Wawerleja nie poznaje i że cały zajęty jest obowiązkami swej służby.

Na czele jechał trębacz przytrębując czasami, za nim chorągwy brat Falkonera dźwigał sztandar oddziału pomimo szczupłej swej liczby dumnie zowiącego się szwadronem, a za chorągwym mieścił się porucznik człowiek już niemłody i rubasznej wesołości. Wawerlej przekonawszy się ciąglem przybliżaniem się do siebie porucznika, że ten ma ochotę z nim porozmawiać, postanowił korzystać z tej jego chętki gadatliwości i rzekł:

— Piękny mamy wieczór do podróży panie poruczniku.

— Wyborny, odrzekł zagadnięty, i jest nadzieja że i urodzaje nie chybią.

— Musicie być zapewne kwatremistrzem wojennym.....

— Och! kłopot to kłopot, a owies zawsze w jednej cenie, byleśmy go tylko wszędzie znaleźli po drodze.

— A gdzie jedziemy, jeśli wolno się zapytać?

— Gdzie?—odrzekł porucznik podnosząc ramię w górę, i dodał tajemniczym głosem:—zdaje mi się że cała ta wyprawa to czyste błazenstwo nie do przebaczenia.

— Jakto rozumiecie?

— Tak, tak, bo wystawcie sobie.....

Tu przerwał dalszą mowę surowy głos Falkonera, który jadąc bokiem zawołał:

— Hej! poruczniku, czy zapomnieliście że wydałem rozkaz aby z więźniem nie rozmawiano?

Falkoner zawstydzony natychmiast umilkł i udał się do tylnych szeregów, a Wawerlej pomyślał sobie:

— Więc więźniem jestem, ale czym i na jakim prawie?

Dalszą zatem podróż odbywać musiał w zupełnym milczeniu, gdyż nie chciał się narażać na nowe brutalstwo Falkonera. W parę godzin wreszcie oddział był już w pobliżu Stirling, na którym powiewała chorągiew unji Anglii i Szkocji. Był to zamek obronny obsadzony wojskiem angielskim, do którego Wawerlej był prowadzony pod strażą Gili-fillana i tak nadszpodziewanie uwolniony napaścią górali. Gdy się zbliżono ku niemu aż do stóp zamkowej góry, Falkoner przez pychę kazał rozwinąć sztandar i zatrąbić na znak wzgardy dla obrońców fortecy. Załoga oburzona taktiem siebie lekceważeniem, postanowiła ukarać śmiałków, i jak tylko oddział tak się zbliżył do dział na wałach leżących, że pocisk mógł go osiągnąć, buchnął wystrzał i kula przebiegłszy ze świstem po nad głowami jadących wkopała się w piasek o kilka łokci obsypując ziemią i konie i ludzi. Jednocześnie w całym szwadronie powstał popłoch nie do opisanego: konie wspinając się uniosły jeźdźców we wszystkie strony i dopiero po za wzgórzem cokolwiek się uspokoiły. Wawerlej zaledwie mogąc wstrzymać swego wierzchowca, musiał jednak z innymi dokonać niefortunnego odwrotu, jeden tylko Falkoner nie tracąc przytomności, wystrzelił z pistoletu w stronę fortecy, niby w odpowiedzi na jej zaczepkę. Po dokonaniu tego bohaterstwa czynu, oddział ruszył w dalszą drogę, i przemocowawszy w małej wiosce, na drugi dzień w miarę zbliżania się ku Edyburgowi stolicy Szkocji, oddalony lecz wyraźny huk dział uwiadomił Wawerleja, że sprawa zniszczenia rozpoczęta została. Ta okoliczność skłoniła Falkonera do zachowania pewnych środków ostrożności; wysłał więc małą straż naprzód, a sam z resztą oddziału w jakim takim porządku posuwał się dalej. Wjechawszy na wzgórze, Wawerlej ujrzał Edyburg, ciągnący się podłużnie ku zamkowi obleganemu w tej chwili przez stronników Stuarta, którzy od kilku dni całe zajmowali miasto. Ponieważ dzień był cichy i pogodny, po każdym wystrzale z działa zamek okrywał się nieprzejrzany tumanami dymu

co tworzyło widok bardzo malowniczy ale i okropny zarazem, zwłaszcza dla Wawerleja, gdy sobie pomyślał, że każdy wystrzał może jest grobowym dzwonem dla jednego z walczących w braterskim zatargu. W miarę zbliżania się do zamku, strzelanie zwolna ustawało, Falkoner jednak ostrożniejszy tą razą, zboczył z drogi i zwrócił się ku staremu zamkowi Holy-rood, nie chcąc się narażać na bliskość wystrzału obleżonych. Potem uszykowawszy swój oddział oddał Wawerleja pod straż góralskiej warty, a oficer zaprowadził go w środek pałacu, zajmowanego przez rycerskiego lecz awanturczego Edwarda Stuarta w imieniu którego kraj cały w nowo rzucono zamieszki. Oficerowie szybko przebiegali przedpokój do którego Wawerlej wprowadzony został, inni przechadzali się jakby czekali na rozkazy, Sekretarze zajęci byli pisaniem, i wszyscy wydawali się zatrudnieni niecierpliwie oczekując ważnego jakiegoś wypadku. Wawerlej usiadłszy niepostrzeżenie we framudze okna i dumając nad zagadkowym swem położeniem, nagle usłyszał po za sobą szelest zbliżającej się osoby. Zanim jednak zdołał obejrzeć się uczuł przyjacielskie objęcie i usłyszał głos znany sobie:

— Witam cię bracie w pałacu Holy-rood, w którym znowu przemieszkuję prawy jego dziedzic.

Był to Fergus Mak-Iwor. Wawerlej uściśnął przyjaciela z najwyższą radością i zaraz obsypał go pytaniami co do swego położenia.

— Dowiesz się wkrótce o wszystkim, ale wprzódby muszę cię zapoznać ze swoim przyjacielem, o którym zapewne nie myślałeś choć on często pytał się o ciebie.

To powiedziawszy wyprowadził Wawerleja z pokoju straży i nim tenże dowiedział się gdzie idzie, już obadwa znaleźli się w salonie audyencyonalnym który po królewsku starano się przystroić. Z grona wojskowych naczelników wyszedł przeciw nim młodzieniec wyróżniający się z pomiędzy wszystkich szlachetnym wyrazem twarzy.

— Wasza Królewicza Mość, odezwał się Fergus z głębokim uszanowaniem, pozwolisz sobie przedstawić.....

— Potomka, przerwał książę, jednej z najwierniejszych rodzin angielskich. Daruj kochany Mak-Iworze że ci przerywam, ale zaiste nie potrzeba mistrza obrzędów, aby przedstawić Stuartowi Wawerleja.

Domawiając tych słów podał rękę Wawerlejowi, którą tenże przyjął z wielkiem uszanowaniem.

— Przykro mi panie Wawerleju, mówił dalej książę, że od chwili wyrwania cię z rąk twych prześladowców, byłeś pozbawionym swobody, ale okoliczności wymagały tego zwłaszcza, że dotąd jeszcze nie wiemy, czy cię możemy liczyć do swoich stronników.

Potem zamilkł przez chwilę, a nim Wawerlej zebrał myśli aby coś na to odpowiedzieć, książę mówił dalej wydobywając papier.

d. c. u.